

Kwiat paproci

Nie od dziś wiadomo – a i najstarsze nawet babuleńki zaśmiałyby się, gdyby je zapytać od kiedy – że jedna jest tylko w roku taka noc, zwana nocą świętojańską. Jeden raz w roku, ledwie niebo zgaśnie razem z zaszłym słońcem, już pierwsze niespokojne głosy ptaków obwieszczają nadejście świtu.

Nie od dziś wiadomo – ale nie każdy chętnie podzieli się tym sekretem – że w noc zwaną sobótką zdarza się niezwykła rzecz: zakwita kwiat paproci. Kto znajdzie i zerwie ów srebrny kwiatusek, tego szczęście i bogactwo nie opuszczą do końca życia. Tak przynajmniej opowiadają.

Tak przynajmniej opowiadali, gdy Jacuś – przezywany przez wszystkich wiercipiętą albo ciekawskim, bo nie było nowości, o której by nie wiedział, ani tajemnicy, której by nie odkrył – pierwszy raz, zamiast skakać jak inni przez ogniska i tańczyć do rana, usiadł obok najstarszych, by posłuchać, co też między sobą opowiadają. A była to właśnie noc świętojańska i o niczym innym nie rozprawiano, jak o kwiecie paproci.

– To paprocie w ogóle zakwitają? – zdziwił się Jacuś, bo oczywiście nie potrafił pohamować ciekawości.

Przy ogniu zapadło nagle milczenie, ktoś się krótko zaśmiał, a ktoś inny westchnął i zaczął coś cicho sobie nucić.



– Ano zakwitają – odezwała się po chwili stara znachorka, która słynęła ze swej mądrości i wiedzy. – Raz w roku, ale tylko jeden jedyny kwiatusek w każdym lesie.

Pozostali w milczeniu pokiwali głowami. Ktoś jeszcze szepnął do ucha Jacusia coś o bogactwie, szczęściu i o wielkiej sławie. Policzki chłopca w jednej chwili rozpalily się gorączką, a oczy zabłyśły niespokojnie – ponieważ jednak było ciemno i gorąco od ognia, nikt prawie nie zauważył tej zmiany. Przy ognisku powoli wrócono do przerwanych opowieści, a każda kolejna przynosiła coraz to barwniejsze szczegóły na temat cudownego kwiatu.

– Niech się dzieje, co chce – powiedział Jacuś, kiedy zaczynało świtać i wszyscy myśleli już tylko o śnie. – Znajdę ten kwiat, choćbym miał po niego pójść do samych czartów.

Cały rok czekał niecierpliwie. Las, który i tak znał już jak własną kieszeń, schodził wzdłuż i wszerz. Nie było ścieżki, której by Jacuś nie znał, nie było zagajnika, do którego by nie wszedł, i polany, której by nie przeciął. Wreszcie nadszedł upragniony wieczór.



Nad rzeką jak zwykle zapłonęły świętojańskie ognie, wśród bawiących się brakowało tylko jednej osoby. To Jacuś – w białej koszuli, nowych butach i kapeluszu z piórkem – właśnie wbiegał do mroczniejszego lasu.

– Ale cicho – szepnął ni to do siebie, ni to do lasu chłopiec, gdy ściana drzew zamknęła się za nim, odcinając odgłosy świętojańskiej zabawy.

Jacuś ruszył szybko ścieżką, którą znał na pamięć – ale teraz nic w niej nie wydawało się znajome. Cisza zalegająca las zdawała się jeszcze potęgować z każdym krokiem Jacusia, z każdą chwilą było coraz ciemniej i ciemniej, i ta ciemność zdawała się tykać wyciągniętymi palcami plecy chłopca



i szeptać: „Intruz! Intruz!“. Jacuś biegł więc coraz szybciej; niskie gałęzie cięły do krwi twarz śmiałka, niewidoczne w ciemnościach krzaki czepiały się jego ubrania i rozciągały tuż nad ziemią kolczaste sznury, o które raz za razem się potykał. Chłopiec już nie myślał o kwiecie paproci, chciał tylko uciec przed tymi szeptami, przed wyciągającymi się w oskarżeniu i drwinie palcami, chciał jedynie wydostać się z pułapki, której pręty nie były metalowe, a pokryte korą i lepkie od żywicy; które z każdą chwilą zdawały się zacieśniać wokół intruza.

– Co się stało? – zapytał Jacuś, bo obudziwszy się w rozświetlonej słońcem chacie, za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak się w niej znalazł. – Boli... – skrzywił się zaraz, bo całe ciało piekło go świeżymi ranami.

– Drwale idący o świcie do lasu znaleźli cię nieprzytomnego na ścieżce do wioski – odparła najmłodsza siostra Jacusia, której najwyraźniej polecono zostać i czuwać przy chorym. – Twoja koszula była brudna i podarta, a ty cały poraniony. Wszyscy byli pewni, że nie żyjesz.

Chłopiec zamknął oczy i chciał odtworzyć w głowie wydarzenia zeszłego wieczoru, ale to wszystko przypominało bardziej zamazany sen niż niedawne wspomnienie.

– Czy udało ci się znaleźć kwiat paproci? – zapytał z ciekawością cieniutki głosik.

– Nie. Jeszcze nie. Ale następnym razem...

To nie był sen, Jacuś dobrze o tym wiedział. Nikt nie ma ran na ciele, budząc się choćby z najstraszniejszego snu.

Minął długi rok i wszyscy dawno zapomnieli o wydarzeniach z zeszłej świętojańskiej nocy. Wszyscy – poza Jacusiem. Chłopiec urosł przez ten rok i zmężniał, i nie przestawano go chwalić za pracowitość – nie tylko w gronie najbliższych, ale i w wiosce. Nikt jednak nie wiedział, że Jacuś tym ciężiej pracuje, im częściej myśli o srebrnym kwiatuszku; tym więcej bierze na siebie obowiązków, im bliżej do następnej sobótki.



W końcu nadszedł upragniony wieczór. Jacus zamarudził w domu pod byle pretekstem i wszyscy już poszli nad rzekę, gdy chłopiec wyciągnął ze skrzyni nową koszulę, włożył pięknie wyczyszczone buty, na głowę włożył kapelusz z piórkami – i pobiegł do lasu.

Tym razem księżyc świecił mocno i Jacusiowi zdawało się, że oto biegnie kryształowym traktem wśród połyskujących srebrem długich gałęzi i tysiący przypominających drżące lusterka liści. Nagle gdzieś w głębi lasu dał się słyszeć cichy tętent kopyt i szczekanie psów; wiatr przyniósł echo myśliwskiej trąbki.

– Któż to wybrał się na polowanie w nocy? – zdziwił się Jacus, przystając i nasłuchując.

Wtem daleko między drzewami mignęło coś raz i drugi – i po chwili oczom Jacusia ukazał się niezwykle widok. Śnieżnobiałe rumaki przemykały pomiędzy drzewami jak wiatr, poprzedzane niespokojną sforą rudyh psów. Kobiety z łukami przytroczonymi do pleców raz za razem wybuchwały radosnym śmiechem, myśliwi nieustannie podnosili do ust złote trąbki. Pościg był coraz bliżej i bliżej, i w końcu przemknął z hałasem i wrzawą tuż obok ukrytego za zwałonym drzewem Jacusia – tak nagle znikając za rosochatymi pniami, jak w jednej chwili się pojawił. Oniemiały chłopiec wyszedł na ścieżkę i zapatrzył się w szumiące strzeliste drzewa, które tak spokojnie wchłonęły tyle ludzi, koni i psów. Nagle wśród szumu lasu chłopiec usłyszał za plecami ciche stąpanie. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył świetlistego rumaka, a na nim jeźdźca, który właśnie wypuszczał z łuku srebrną strzałę prosto w skamieniałego ze strachu Jacusia.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiał chłopiec, zrywając się gwałtownie spod dwóch grubych kołder, którymi go przykryto. – Gdzie ja jestem?

– W domu! – wykrzyknęła siostra, szczęśliwa, że Jacuś się obudził. – Tydzień temu znaleźliśmy cię na ścieżce do wioski. Nie byłeś ranny, ale wyglądałeś jak martwy. Stara znachorka trzy dni nie odstępowała twojego łóżka, pojąc cię leczniczymi ziołami i przykładając ci do piersi opatrunki, mimo że przecież nie byłeś nawet zadraśnięty.

– W domu... – zamyślił się brat, bez skutku próbując przypomnieć sobie cokolwiek z ostatniej wyprawy do lasu. – To spałem cały tydzień?

– Uhm... – potwierdziła dziewczynka. – No i znalazłeś kwiat paproci? – spytała, surowo marszcząc brwi.

Jacuś nic nie odpowiedział. Położył się z powrotem na poduszki, obrócił plecami do siostry i udał, że koniecznie musi się jeszcze przespać.

– Może chociaż ci się przyśni, że go znajdujesz? – usłyszał jeszcze cieniutki głosik i pełne rezygnacji westchnienie siostry.

Zacisnął powieki, by powstrzymać łzy bezsilności. Drżał z gniewu.

Nadeszło długie lato i deszczowa jesień; zima była wyjątkowo mroźna, zaś wiosna wybuchła zielenią, bielą, żółcią i czerwienią gwałtownie jak radosny okrzyk. Jacuś z chłopca wyrósł na silnego i bystrego młodzieńca. Był wielką pomocą dla całej swojej rodziny i jedynie podkrążone oczy zdradzały, że wciąż męczą go niespokojne myśli i sny. Wszyscy – czy to bliscy, czy obcy – prosili i zaklinali go, by więcej nie szukał kwiatu paproci. Poprosiła go o to nawet stara znachorka, choć dobrze wiedziała, że Jacuś nie usłucha.

W końcu nadszedł ten oczekiwany z niepokojem wieczór. Wszyscy ruszyli tańczyć i śpiewać, jak przystało w noc świętojańską; starannie przypilnowano, by i poszukiwacz kwiatu paproci poszedł nad rzekę, gdzie płonęły już ogromne ogniska, a na wodzie unosiły się wianki z kwiatów.



Jacuś – w pięknej białej koszuli, w nowych butach i w kapeluszu z piórkami – wesoło ruszył do zabawy. Tańczył i skakał przez ogień, i śmiał się ze wszystkimi z nieprawdopodobnych opowieści powtarzanych jak co roku w gronie starszych. Wszedł księżyc i nikt już nie martwił się niczym, po wodzie niósł się wesoły śpiew i niezliczone śmiechy. Zaś ścieżką prowadzącą do lasu już biegła w stronę rzeki smukła postać, raz po raz oglądając się za siebie – nikt jednak niczego nie zauważył. Jacuś zwolnił, odetchnął głęboko chłodnym powietrzem i wszedł pomiędzy kiwające leciutko się pnie.

– No, nie daj się prosić, kwiatuszku – szeptał młodzieniec, klucząc po lesie. – Przecież wiesz, że muszę cię znaleźć. Prędzej czy później, to już bez znaczenia...

W tym momencie daleko pomiędzy drzewami coś zajaśniało srebrnym światłem i Jacuś – nie zważając na zwieszające się nisko, pokryte